

ROZMOWA Z NAJSTARSZĄ POLSKĄ DRAG QUEEN – LULLA LA POLACA

Jakiś ładunek, jakaś kosmiczna energia, napędza to wszystko

ROZMAWIAŁA KATARZYNA ŁOPATA, ZDJĘCIE KAROLINA JÓŹWIĄK

W jaki sposób odkryłaś swoją pasję do dragu?

Rozpocznijmy od tego, co ja określam, jako mój wiek cielęcy. Ta ciekawość pojawiła się w wieku 9-11 lat. Pod nieobecność rodziców ciągnęło mnie wtedy do pięknej dwudrzwiowej szafy mojej mamy. Na własną rękę odkrywałem świat wizytowych sukienek z kopertowym dekoltem, przewiewnych haleczek. Piękne były te mamine kiecuszki...

Wyciągałem, co mi się podobało i ubierałem na siebie. Potem szybko do łazienki. Znajdowałem jakąś szminkę i malowałem się koślawo. No i kobiece buciki, za duże oczywiście na mnie, ale jakby tylko na mnie czekały. Wkładałem je i przedstawienie. Obok szafy stała bieliźniarka z ogromnym kryształowym lustrem. Właśnie tam stawałem jako, za przeproszeniem, gówniarz i stroiłem miny. I to był początek. Potem przerodziło się to w jakąś formę absolutnego pociągu do tego, żeby się prawdziwie przebierać i prawdziwie malować. Być w prawdziwym dragu.

Przez lata to było wszystko trochę schowane. I nastąpił przelom. Był to 2008 rok, kiedy poznałem dragową Królową Warszawy, Kim Lee. Rewolucjonistkę, dzięki której ja w ogóle na tę scenę prawdziwego dragu wlażłem.

Schowane...?

Tak. Wcześniej na prywatnych spotkaniach było takie przebieranie się. Nie mieliśmy praktycznie niczego. Brakowało sklepów czy nawet ciucholandów. Radziliśmy sobie tak, jak pozwalały na to domowe warunki. Ktoś zdjął kawałek firanki czy zastony, robił turban na głowie z ręcznika frotte i voilà! Już uznawaliśmy, że mamy na sobie kostium. To był czas domowych pieleszy, rzemieślnicza robota w prywatnym mieszkaniu. Czasem u mnie, ale tylko wtedy, kiedy rodzice wybywali w ramach Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Poza tym w wieku szkolnym, licealnym w ogóle nie miało się takich kontaktów, nikt nie myślał o jakiś tam występach, które będą zbierały publiczność. Nazywaliśmy to po prostu przebierankami.

Pierwszy występ to...

Taki prawdziwy to cztery lata po poznananiu Kim i były to moje imieniny. W 2012 roku urządziłem tradycyjnie Andrzejki, ale to było jeszcze takie wydarzenie na zasadzie przebierania się i nie traktowaliśmy tego jako sztuki dragu.

Natomiast pierwszy POWAŻNY występ odbył się w prywatnym mieszkaniu moich



przyjaciół przy Alejach Niepodległości. Mają piękny dwupoziomowy apartament z kręconymi schodami, co było szalenie istotne. Chcieliśmy z Kimem zrobić taką prawdziwą rewię, tylko że dwuosobową. I nam się udało. Zeszliśmy razem po tych kręconych schodach do salonu, gdzie czekało ponad 50 osób, więc już poważna publiczność. A potem pomiędzy drinkami i przekąskami – daliśmy występ. Poszto nam wspaniale.

No, nie będę kręcił: odnieśliśmy sukces. Więc trzeba było iść za ciosem. Kim wymyśliła, że przeniesiemy się do klubu Kalinowe Serce na Żoliborzu. Zrealizowaliśmy tam cztery „Lulla Show”. Każde kolejne wspanialsze od poprzedniego.

Do piątego, jubileuszowego nie doszło?

Niestety tak, przez pandemię. Jeszcze w październiku żeśmy się z Kim umawiali, że zrobimy to w listopadzie, właśnie z okazji Andrzejek. Niestety Kim zachorowała na COVID, potem znalazła się w szpitalu na Stadionie Narodowym, stamtąd ją wywieźli do Wojskowego na Wołoską. I tam w śpiączce dokonała żywota. Nie miałem okazji się z nią pożegnać. Także jubileuszu w Kalinowym Sercu nie było.

Tym sposobem „Lulla Show” umarło śmiercią (nie do końca) naturalną, ale cały czas jest zamysł, żeby je wznowić w nowej formie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Mam przecież jeszcze dużo czasu.

Dużo osób poznało cię dzięki współpracy z Ralphem Kamińskim. Jak to się zaczęło?

Jak piorun z jasnego nieba. Zadzwonił do mnie i od razu tak prosto z mostu: „Lulla, czy możemy się spotkać?”. Odpowiedziałem, że oczywiście.

Gdy jechałem na miejsce, byłem pewien, że to będzie po prostu rozmowa. Jakaś kawka, może zrobimy sobie zdjęcie. A okazało się, że jak przyjechałem to tam były już i wizażystki i garderobiane z kostiumami... Tak trafiłem na plan teledysku do utworu „2009”. No, a potem był, mój najukochańszy, klip do „Taty”. Ralphowi będę za to wszystko wdzięczny do grobowej deski. To wspaniały artysta i uważam, że tym razem zrobiliśmy swoje. A w zasadzie moje.

Ukochane miejsca na Targówku?

Na przykład salonik wspaniałego fryzjera pana Grzesia. Poznałem go w salonie w takim siermiężnym pawilonie gierkowskim przy ulicy Kuflewskiej. Teraz na miejscu pawilonu stoi 11-piętrowy apartamentowiec z ośmioma klatkami schodowymi. Pan Grzesio przeniósł się jednak nieopodal do salonu przy ul. Szczepanika. Nadal tam chodzi. Pan Grzesio ścina Lullę już od 8 do 9 lat.

Ważny jest dla mnie Cmentarz Bródnowski, gdzie leżą moi dziadkowie i rodzice. Czasami do nich zachodzę i dumam nad upływającym czasem. Zazwyczaj nie siedzę za długo, bo przeważnie bardzo się gdzieś

śpieszę. Na szczęście nie do nich.

Kolejny jest mój ukochany bazarek, który w tej chwili mieści się przy Trockiej. Jak mi się nie chce iść przez park Wiecha, mijając z daleka Rampę, to wsiadam w metro, bo mogę. I jeden przystanek jadę z lenistwa. Wtedy wchodzę prosto w bramę bazarku — tam mam ukochaną swoją piekarnię Lubaszkę. Także to są moje miejsca ukochane i najważniejsze.

Metro to w ogóle wspaniała rzecz. Nigdy mi się nie śniło, że w ogóle będę mógł dostać się z Targówka do centrum w 12 minut.

Targówek to dobre sąsiedztwo?

Dla mnie w ogóle dobre relacje sąsiedzkie są szalenie ważne. Mam kilku cudownych sąsiadów i wspieramy się na co dzień, także od święta. Na 12. piętrze mieszkają Tomek z Moniką. Jesteśmy tak zaprzyjaźnieni, że mam nawet klucze do ich mieszkania. Jak wyjeżdżają, to podlewam im kwiaty.

Albo taka sytuacja: ze dwa miesiące temu wracam do domu, ostro pada deszcz. Otwieram drzwi domofonem, za mną wchodzi facet. Nie widzę twarzy, bo ma kaptur. I pyta: „Pan Andrzej?”. Ja odpowiadam, że tak. A on mi mówi, że jest moim fanem: śledzi mnie na Instagramie i jest pod wrażeniem filmu. Podziękowałem i zaprosiłem do siebie na kawę czy kieliszek wina. I wpadł w zeszytym tygodniu. Wypił ze mną bruderszafkę sokiem jabłkowym, bo nie pije alkoholu, a ja z nim nalewką własnej roboty. I cyk! Kolejny sąsiad, z którym jestem po imieniu. Czy to nie są miłe rzeczy?

Więc gdyby ktoś mi teraz zaproponował: „Lulla dostajesz apartament w Śródmieściu!”, to powiedziałbym, tak jak czuję: „Dziękuję bardzo, ale Targówek jest dla mnie miejscem ukochanym”. I bym temat uciął.

Jesteś targówczaninem od wielu lat, więc pewnie znasz dzielnicowe legendy?

Oczywiście. Wiesz, że w waszych teatralnych piwnicach leżakowało kiedyś wino z importu? A Rampa miała być stacją metra. Taki był plan, kiedy jeszcze rządziła „ekipa PRL”.

Bardzo ciepło mówisz o swoim domu. Czy można powiedzieć, że twoje mieszkanie jest częścią artystycznej kreacji?

Chyba tak. Powstawały tutaj przecież kadry do filmu „Boylesque”. Także wywiady do „Vouge’a”, „Gazety Wyborczej” czy dla TVN-u. To się zaczęło od tego, że ja tu mieszkam. To się wszystko dzieje w małym mieszkanku na Targówku. I to mi nadaje kontekst.

Oprócz tego ono żyje. Magazyn „Replika” korzysta z moich wnętrz, a szczególnie z dachu, gdzie robi sesję do kalendarza z nagimi modelami. Na moim balkonie kręci się social media dla środowiska LGBTQ+. To w tym mieszkaniu mówię głośno o Paradzie Równości, która musi istnieć. I że ja w tej paradzie zawsze będę szedł na czele, bo uważam, że tak należy. Że to słuszne.

A co kochasz robić w domu?

Mam tak piękny widok, że stać na balkonie. Jak spojrzę na wprost, to widzę całą Żerań i te ogromne kominy elektrociepłowni. One bardzo kopczą, ale już w tej chwili są tak zabezpieczone, że w zasadzie to chronią środowisko. Spojrzę w lewo, a tam warszawski Manhattan. Wieczór zapala wszystkie wieżowce. Do tego neony. Jak mnie ludzie odwiedzają, to zawsze są pod wrażeniem tego widoku.

Na prawo widzę dach Teatru Rampa i czasami myślę, co się u was dzieje. Dalej całe Bródno, łącznie ze szpitalem tym na Kondratowicza. Mam pocztówkową panoramę stolicy nie ruszając się z domu.

Czy wierzysz w miłość?

Oczywiście. Ona może nadejść w każdej chwili. Nie ważne czy masz 20, 60 czy 80 lat. Trzeba wierzyć, że się pojawi. W momencie, gdy nie będziesz się tego kompletnie spodziewać.

A jesteś romantykiem?

Zesztoroczne walentynki. Organizował je dyrektor LGBT+ Film Festival, Wiktor Morka. Urządził specjalną projekcję filmu „Boylesque” w Kinotece. Wspaniale było zobaczyć wypełnioną po brzegi widownię,

która chłonie i przeżywa moją historię.

Po projekcji udzielałem wywiadu, gdzie redaktorka Agnieszka Pilacińska zapytała mnie o miłość.

Opowiedziałem wtedy o szczęściu, które znalazłem podczas Sylwestra 22/23. Szczęściu, które nazywa się Paweł — mój przyjaciel. Zszedł wtedy z widowni, cały zaróżowiony, bo się tego nie spodziewał, przytuliłem go do siebie i się pocałowaliśmy. A cała publika wstała i skryta nas pod burzą oklasków.

Piękne wspomnienie. Ta chwila znaczyła dla mnie bardzo dużo. Tworzymy razem jakiś taki partnerski układ. Cieszę się, że poznałem kogoś takiego. I dzieje się to kiedy Lulla już dawno skończyła 80 lat.

Za to czujesz wdzięczność?

Tak. I że w moim życiu cały czas coś się dzieje. Jakiś ładunek, jakaś kosmiczna energia, napędza to wszystko. Ja nigdy nie wierzyłem w żadne ezohistorie i układy słoneczne, ale wiesz... Okazuje się, że coś się gdzieś dzieje w tym kosmosie, że pojawiła się Lulla i w jakiś sposób jakiś los się nią zajął opatrnościowo.

Lulla, czy Tobie się jeszcze chce?

Oczywiście. Stale mi się chce coś robić. Nie chcę usiąść w kącie jak siedzi wielu moich rówieśników, a może nawet młodszych, takich już emerytowanych ludzi. A ja chcę robić swoje rzeczy. Chcę działać na rzecz środowiska LGBTQ+. Cały czas chcę.

Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia w Rampie.

A ja dziękuję, że narodziła się myśl, byśmy porozmawiali tutaj, w teatrze. Bo teatr to moje życie.